Zey [Krzysztof Wolicki[1]], *O iluzjach*, „Krytyka”, 1986, nr 21, s. 302–304.
Hasła przedmiotowe: opozycja, myśl polityczna „samoograniczająca się rewolucja.”

W ponawianych ostatnio próbach samookreśleń politycznych w obozie opozycji demokratycznej nie byłoby nic niewłaściwego, gdyby nie towarzyszące temu iluzje.

Są one dwóch głównie odmian.

Iluzje odmiany pierwszej występują wtedy zwłaszcza, gdy deklaracje ideowe miesza się z programem politycznym, Coraz to jakiejś grupie opozycyjnej i poszczególnym publicystom wydaje się, że jeśli odpowiednio gromko sformułują racje swojej niezgody na socjalizm realny i rozsnują swoje wizje dobrze urządzonego polskiego świata, to tym samym sprostają powszechnemu wołaniu o program.

Jest wszakże smutną i równie banalną, jak chętnie zapomnianą prawdą, że program polityczny, to znaczy program działań, nie powstaje w zależności li tylko od woli i umiejętności piszących. Polityka jest domeną siły, to zaś znaczy, że trzeba siły nie tylko po to, by walkę polityczną stoczyć, lecz również po to, by ją w ogóle móc zaplanować. Program polityczny jako program działań jest przeznaczony dla konkretnych sił i jeśli ma być przez nie zaakceptowany i realizowany, to musi odpowiadać ich politycznym doświadczeniom, czerpanym z walk dotychczasowych. Innymi słowy, aby program polityczny mógł w ogóle powstać, trzeba, by już istniały na forum politycznym odpowiednie siły, już trwał wysiłek organizacyjny i już toczyła się walka. W przeciwnym razie tekst zakrojony przez autorów na program – a nasi „programiści” lubują się w stylu wojskowej marszruty, tacy są na pozór rzeczowi – okaże się w lekturze, dla odbiorcy, jeszcze jedną deklaracją pryncypiów i idei lub też mniej czy bardziej udanym opisem utopii.

Otóż w Polsce koncepcja „samoograniczającej się rewolucji”, a następnie „niezależnego społeczeństwa’, uzasadnia, słusznie czy niesłusznie niemożnością strząśnięcia jarzma jałtańskiego, doprowadziła do tak szczególnej sytuacji, że opozycja polityczna walki politycznej nie podejmuje i nie toczy. Jej intencją pozostaje ograniczanie pola działania władzy politycznej i jej samowoli, ale nie zmiana władzy. O ile jednak opozycja się w ten sposób samoogranicza, władza wcale sobie nie żałuje i otwarcie zmierza do likwidacji przeciwnika. Ta zasadnicza asymetria sprawia, że tylko jedna strona, władza, dysponuje programem politycznym, opozycja ma w najlepszym razie program przetrwania. Nie znaczy to, że program polityczny władzy jest realny i udatny lub że opozycji nie uda się przetrwać. Nie jestem wcale pesymistą w tym względzie. Znaczy to jednak, że nasza opozycja nie zdoła wyłonić programu, choćby nie

[1] Krzysztof Wolicki (1925–2001) – dziennikarz i publicysta. Do 1967 działacz komunistyczny, od 1976 współpracownik opozycji demokratycznej.

wiedzieć, ilu i jak znamienitych zmobilizowała w tym względzie myślicieli, jeśli nie zdecyduje się podjąć walki politycznej o zmianę władzy.

W tym miejscu powiało zapewne grozą, a realpolitykierzy towarzyszący opozycji z doskoku załamali ręce. Czyż bowiem w kraju pod ścisłym nadzorem radzieckim postulowanie walki politycznej o zmianę władzy jest szaleństwem – w przeciwieństwie do słodkich i niezobowiązujących rojeń o Polsce wolnego rynku, z „komuchami" w roli co najwyżej nocnych stróżów?

Zapewne, jeśli ktoś wyobraża sobie zmiany władzy innej niż nagłej i całkowitej, byłoby to przedsięwzięcie wielce ryzykowne. Ale ta „rewolucyjna" wizja nie jest jedyną możliwą. Możliwa jest też zmiana władzy mniej zasadnicza i bardziej ewolucyjna, choć osiągnięcia na tym polu nigdy nie byłyby ostateczne. Walka o taką zmianę, ci jest, jako się rzekło, bezsporna. Czy jednak komunizm, ZSRR i jego rodzime pochodne nad Wisłą kompromitują tylko tradycyjną lewicę? Czy nie są one aby kompromitacją całej wyniesionej z XIX w. skali politycznych idei i miar? Dla odpowiedzi nie może być miarodajna świadomość własna komunistów, którzy istotnie – zgodnie z tym, co o nich twierdzą znawcy prawa – przyznają się do lewicowych głównie filiacji. Jest to wszakże świadomość spóźniona, przywiązana do rewolucyjnego mitu sprzed objęcia władzy, gdy komunizm, na kształt Gorgony, nie jest zdolny sam sobie spojrzeć w twarz, przyznać się do siebie, czym zresztą różnił się zawsze od faszyzmu, i dopiero ostatnio, wraz z nasileniem apoteozy realnego socjalizmu przodujące kadry komunistyczne zdają się przezwyciężać skutecznie ten wstręt do samych siebie. U nas patrzy w ten sposób w lustro i całkiem jest z siebie zadowolony choćby Mieczysław F. Rakowski[2] */vide* jego najnowsza książka/, a przykład to pouczający, gdyż tym, co zapewnia działaczowi dobre samopoczucie jest właśnie dołączenie do własnej genealogii wątków całkiem odmiennego niż lewicowe pochodzenia – nacjonalistycznych i państwotwórczych.

Pokazywano niejednokrotnie, jak etos XIX-wiecznej lewicy przetrwał i wyrodził się w komunizmie. Mniej znane, ale też już przecież przeprowadzone są analizy zbieżności praktyki komunizmu z etosami prawicy – np. nacjonalizmu i apoteozy państwa „w naszym piśmiennictwie zauważył słusznie to pokrewieństwo polsko-kanadyjski profesor, Adam Bromke, choć wartościował odwrotnie – jego zdaniem uszlachcha ono komunistów, nie zaś pogrąża ona endeków/. Inny taki wątek, to rewindykacja myślenia konserwatywnego, rehabilitacja *status quo* jako miary wszechrzeczy. Tym, którzy sądzą, że komunizm tylko zrównuje, jak lewicowy walec, wskażę powszechną dziś w socjalizmie realnym wolę „odbudowy ilorazów". Ba, nawet kategorie zysku i konkurencji doczekały się komunistycznych apologetów.

Czy zamierzam z tego wnosić, że komuniści stali się patriotycznymi konserwatystami ciułającymi zyski z wolnej konkurencji? Skądże znowu. Ale nie chcę też, by mi ich przedstawiano jako trochę pomylonych lewicowców.

---

[2] Mieczysław Rakowski (1926–2008) – dziennikarz, polityk komunistyczny, premier PRL w latach 1988–1989, ostatni I sekretarz KC PZPR.

Są to wszystko banały, wyjąwszy może wniosek. Jeśli wspólny przeciwnik z taką swobodą buszuje po XIX-wiecznych tradycjach i dobiera sobie strzępy tamtych przestrojeń do swoich *retro-shows*, może opozycja polityczna zechciałaby wreszcie pojąć, że dziesięciolecia totalitarnego doświadczenia odcinają je definitywnie od tamtych podziałów i miar. I nic jej nie pomoże żmudne, uczciwe odkłamywanie tradycji – zajęcie skądinąd niezbędne dla historyków i pożyteczne dla kultury – ponieważ praktyka polityczna dnia powszedniego „zakłamuje" je wciąż na nowo. Dla opozycji politycznej nie ma innego kierunku spojrzenia niż tylko w przyszłość. W totalitaryzmie nie istnieje polityczny powrót w przeszłość.

Na koniec: czy pomiędzy iluzjami obu odmian istnieje więź nieprzypadkowa? Oczywiście, złudzenia naszej neoprawicy służ przecież zapełnieniu programowej pustki: w wersji aktywistycznej pozorują programy, które na tej drodze powstać nie mogą, zaś jako organicznikowskie usprawiedliwiają po prostu zobojętnienie i kolaborację.